

Więty Leonard z pół

Marek Stokowski

Leonard, główny bohater powieści, to emerytowany strażak, wdowiec i „złota rączka”, który po przeżyciu wielkiej, osobistej traumy zamknął się w symbolicznym „kokonie”. Odseparowany od świata, mieszka samotnie w starym domu na Powiśle, w krajobrazie kulturowym ukształtowanym przez menonickich osadników, którzy swoje domy wznosili na sztucznych pagórkach, zwanych terpami, by chronić je przed kaprysami rzeki. W jego uporządkowane, ale naznaczone bólem życie, wkroczy jednak niezwykle wydarzenie, które na zawsze odmieni jego monotonną egzystencję. Powieść czerpie inspirację z bogatej tradycji literackiej, którą przetwarza w nowoczesny, przewrotny sposób. Główny bohater, Leo, bywa nazywany „półniejszym Don Kiszotem na rowerze”. Cała historia jest określana jako „wariacki romans rycerski” spleciony z opowieścią hagiograficzną (o życiu świętych), ale bardzo przewrotną i współczesną.

FRAGMENTY POWIEŚCI

Ten ceglany dom wybudowali mennonici, dawno temu, przed wojnami, które zgruchotały kościół świata. Dom był długi. Mennonici nazywali taki układ zabudowań gospodarskich Langhof. Składał się z budynku mieszkalnego, sklejonego swoim szczytem z pokojem oborzy; ta zaś przylegała drugim końcem do szczytu stodoły. Wszystko to pod jednym dwuspadowym dachem, pokrytym czerwonym dachówką. Leo nie hodował zwierząt czy koni, więc w czwórce dla zwierząt urządził drewnianą i zaplecze dla pasieki.

W porównaniu z zagrodami i domami w okolicy, w tej chałupie i obejściu panował wzorowy porządek, taki przeciwnie. Nic nie zagrażało wyjść z komórek, obory, stodoły i domu, instalacja elektryczna była sprawna i zadbane, wentylacja jak należy, komin oczyszczony, szczelny, odnowiony, i wszędzie gdzie trzeba, a czasami gdzie nie trzeba, zgromadzone były wszelkie środki do obrony przed żywiołem: gaśnice przenośne przeróżnych rodzajów, staromodne hydronetki i koce gaśnicze, toporki i bosaki.

*

Ludzie nazywali Leo świętym. Zapewne dlatego, że miał brodę patriarchy. Nazywali go tak – albo przezywali – raczej nie dla jego cnót i zasług, jako że Leonard był grzesznikiem, tak jak inni, jak my wszyscy. Czasem grzeszył wprost okropnie. Popluwał przez okno, jadł za dużo jak na pustelnika, skrywał w kościołach al do Pana Boga i spoglądał poślednio na kobiety mieszkające blisko mostu, zgrabną panią w wieku średnim.

Miał i inne ciężkie przewinienia. Najcięższym z nich wszystkich było to, że tkwił w kokonie. To był kokon własnych myśli, starych dziwactw, spraw i przyzwyczaję. Separował go od bliźnich z ich jazgotem i nędzami.

Nazywali Leo tak, jak nazywali, bo miał brodę patriarchy, a poza tym – tak dla śmiechu.

[...]

O tej porze dnia, za kwadrans druga, s?o?ce, zawiewaj?c z lewej strony, sprawia?o, ?e wszystko, co le?a?o na po?udniu, stawa?o si? ?wiat?em albo cieniem i zamgleniem. W tym mocnym kontra?cie las schodzi? po zboczach, zza niego wysuwa? si? komin nale??cy do cegielni, nieco dalej, po?ród lip i starych ?wierków, bi?a w niebo wie?a dzwonna. Na wprost, na zachodzie, le?a?a ?u?awa: pas pól a? po Wis??, o?wietlony bocznym ?wiat?em. Rzeka ukrywa?a si? za przeciwpowodziowym wa?em i liniami drzew alei. Tam i siam ?ó?ci?y si? obszary wonnego rzepaku, ale s?abo, coraz s?abiej, za to pot??nia?a ziele? pszenic. Tu i ówdzie b?ysn?? szyb? jaki? pojazd. A po prawej, za granic? wsi i zydlungami, widok zamyka?a klamra lasu. Ten las na pó?nocy by? ?wietnie widoczny pod s?o?cem z po?udnia.

Na przeciwnym brzegu rzeki wyrasta?y mi?kkie wzgórza. Tam l?ni?o Kociewie. Na stra?y krainy sta? krzy?acki zamek Gniew z dachami w ksza?cie sto?ków na naro?nych wie?ach z ceg?y. Na lewo od zamku, czyli troch? w gór? Wis?y, na sporych wzniesieniach ci?gn??y si? bory, w których kiedy?, dawno temu, polowa? Sobieski. Podobno mia? nazwa? te wzgórza Alpami. Okre?lano je za przysz?ym królem – Tymawskimi, od starej osady Tymawa, gdzie w wieku XIII osiedlili si? kalatrawensi.

Leo nie by? ju? najm?odszy, wi?c ?atwo si? wzrusza?: rycerzami z Polski i Hiszpanii, dolin?, lasami, polami i zamkiem.

[...]

Po kontroli przeciwp?arowej u ksi?dza proboszcza, kiedy Leo szed? przez centrum wsi, prowadz?c rower, i rozgl?da? si? za Tadziem, do?? niespodziewanie przysz?a chmura i zacz??o troch? pada?. Na szcz??cie nie grzmia?o. By?o pusto jak gdzie? w polach. Tak na wysoko?ci ceglanego, najstarszego spichrza w okolicy (rocznik 1858), który teraz sta? ju? opuszczony, Leonard zobaczy? nieznajom? m?od? pani?. Sz?a powoli wzd?u? parkanu. Mimo ?e nie mia?a parasolki, nie spieszy?a si? za bardzo. Tu? przed ni? skaka?a dziewczynka, trafiaj?c stopami w ?rodek p?ytek chodnikowych. Odbija?a si? na przemian – raz na lewej, raz na prawej nodze – i wo?a?a:

– Mama, zobacz! Mama, zobacz, nie ma skuchy!

Leo zrówna? si? na chwil? z ow? mam?. Kiedy zacz?? j? wyprzedza?, zauwa?y? k?tem oka, ?e kobieta cicho p?acze, bezg?o?nie, jak Iga na ko?cielnej wie?y, pod dzwonami. Nie pomyli? deszczu z ?zami.

Pa?stwo wiedz?, ?e m??czyzna zwykle wpada w przera?enie, gdy jest ?wiadkiem p?aczu niewiast. Z miejsca czuje si? wszystkiemu winny i odpowiedzialny za nieszcz??cie, chocia? nie wie, co si? sta?o. Wi?c Leo zapyta?, kompletnie si? pl?cz?c:

– Ja bardzo przepraszam, czy co? z?ego... Czy ja móg?bym jako? pomóc?

Ta pani spojrza?a i – o dziwo – u?miechn??a si? do niego. W tym deszczu i w p?aczu. Powiedzia?a tylko:

– Nie, dzi?kuj?. Ja p?acz? ze szcz??cia. – Pokaza?a r?k? dziecko.

I Leo – m??czyzna, stary, g?upi ch?op – zrozumia?.

Fragmenty pochodz? z ksi??ki: M. Stokowski, ?wi?ty *Leonard z pól*, PIW, 2025.